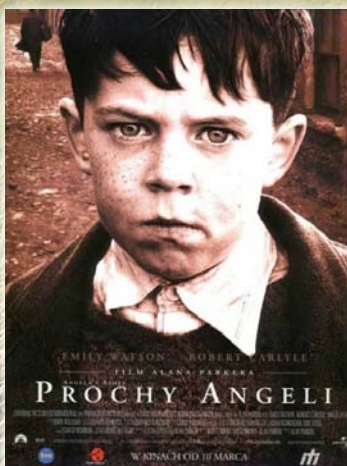


Obchody Dnia Świętego Patryka 15-16 marca 2012



PROGRAM

DZIEŃ I
15 marca 2012

Wieczór filmowy

16.00 - *Prochy Angeli* (reż. Alan Parker)
18.30 - *Once* (reż. John Carney)



DZIEŃ II
16 marca 2012 godz. 18.00

Koncert zespołu DUAN

w składzie: Katarzyna Szyszkowska - skrzypce,
Witek Kulczycki - tin whistle, irlandzki flet
poprzeczny, bouzouki, wokal,
Tomek Urbański - akordeon,
Szymon Białek - gitara akustyczna,
Adam „Rorian” Kryński - bodhran

Obchody pod patronatem Mateusza Morawieckiego - Konsula Honorowego Irlandii,
we współpracy z Fundacją Kultury Irlandzkiej (Poznań)

**Film *Once* naładował
mnie pozytywną energią
na całą resztę roku.**

Steven Spielberg

ONCE

Reżyseria i scenariusz – John Carney,
zdjęcia – Tim Fleming, muzyka – Glen
Hansard, Markéta Irglová, scenografia
– Tamara Conboy. Występują: Markéta
Irglová (Dziewczyna), Glen Hansard
(Chłopak), Hugh Walsh (Timmy per-
kusista), Gerry Hendrick (Gitarzysta),
Alvaro Roque (Basista), Geoff Minogue
(Eamon), Bill Hodnett (Ojciec chłopaka),
Danuse Ktrestova (Matka dziewczyny).

Kraj produkcji – Irlandia ; Rok produkcji
– 2006 ; Budżet – 130 000 Euro ; Data
premii – 23 marca 2007 (Irlandia),
28 marca 2008 (Polska) ; Czas trwania
– 85 min.

NAGRODY:

Oscar 2008 w kategorii: Najlepsza
oryginalna piosenka z filmu („Falling
Slowly”, Glen Hansard, Markéta
Irglová).

Nagroda Publiczności na Festiwalu
Sundance.

Nominacja do nagrody BIFA – najlep-
sza produkcja zagraniczna. – (Best
Foreign Independent Feature).

Nagroda dla Najlepszego filmu
Zagranicznego na festiwalu Raindance
w Londynie.

Pierwsza nagroda na festiwalu filmo-
wym w Moskwie.

Nominacja do nagrody GRAMMY –
najlepszy filmowy soundtrack (Best
Compilation Soundtrack Album For
Motion Picture, Television Or Other
Visual Media).

Nagroda dla najlepszego soundtracku
na festiwalu w Los Angeles.

Nagroda krytyków filmowych Phoenix
dla najlepszej piosenki – „Falling Slow-
ly”, Glen Hansard, Markéta Irglová.

Cyt.: <http://www.gutekfilm.pl/once/>
; [http://pl.wikipedia.org/wiki/Once
%28film%29](http://pl.wikipedia.org/wiki/Once%28film%29) ;



ZE STRESZCZENIA FILMU

Dwoje nieco samotnych i opuszczonych
ludzi, zagubionych na ulicach gwarne-
go Dublina. On jest ulicznym grajkiem,
zbyt niepewnym, by za dnia grać prze-
chodzącą pośpiesznie obok publicz-
ności swoje piosenki; robi to tylko wie-
czorami. Ona jest emigrantką z Czech,
sprzedaje róże, sprzęta mieszkania
i marzy o własnym fortepianie. Obo-
je mają niezwykły talent muzyczny,
złamane serca i olbrzymią chęć, aby
odmienić swoje życie. W błyskawicz-
nie rozwijającym się i coraz bardziej
bogaczącym Dublinie, który zmienia się
pod wpływem boomu ekonomicznego,
oni oboje są outsiderami, szamoczący-
mi się ze swoją muzyką i uczuciami. Ich
przypadkowe spotkanie odmieni życie
obojga. Odkryją, że dzielą pasję do
muzyki i talent. W ciągu zaledwie kilku
dni, zainspirują się nawzajem do speł-
niania swoich marzeń. Zdecydują się
na nagranie płyty, inaczej spojrzą na
swoje życie, odnajdą stracone uczucia.
W muzyce odnajdą łączącą ich więź.
A wszystko zaczyna się od jednej smut-
nej piosenki, śpiewanej późnym wiecz-
orem na Grafton Street oraz niebieskie-
go, zepsutego odkurzacza...

Cyt.: [http://www.gutekfilm.pl/once/
streszczenie.php](http://www.gutekfilm.pl/once/streszczenie.php)

Prosta, klasyczna historia o dwojce
zakochanych artystów. Skromny film,
pełen naturalnego uroku, irlandzkiego
klimatu, muzyki i wietrznej pogody. Kie-
dy pojawił się na festiwalu w Sundance
praktycznie nikt o nim nie słyszał, jed-

nak po pokazie dostał *standing ovation*
oraz najbardziej znaczącą dla każ-
dego reżysera nagrodę – Nagrodę
Publiczności. Od tego momentu rozpo-
częło się jego pełne sukcesów „świato-
we tournée”. Film zrobiony za niewiel-
kie pieniądze stał się nieoczekiwanym
sukcesem i hitem amerykańskich box
office. Zrealizowany za jedynie 75 tys.
funtów zarobił prawie 3.5 tys. funtów,
w przeciągu kilku tygodni. Początkowo
film był grany jedynie w dwóch kinach
Nowego Jorku, przyciągnął jednak
tak dużą uwagę publiczności i krytyki,
iż dystrybucję rozszerzono na 150 kin
w całych Stanach Zjednoczonych. Suk-
ces filmu jest tym bardziej zaskakują-
cy, że sam reżyser nie wierzył w jego
powodzenie. Początkowo planował
sprzedawać DVD z filmem na koncer-
tach The Frames; teraz nieznany dotąd
reżyser zaczął być zapraszany przez
znane studia filmowe i gwiazdy do
współpracy przy kolejnym projekcie.

Cyt.: [http://www.gutekfilm.pl/once/
ofilmie.php](http://www.gutekfilm.pl/once/ofilmie.php)

Tło filmu w głównej mierze stanowią
ulice Dublina, sklepy i wnętrza miesz-
kań głównych bohaterów. Żadne z nich
nie ma swojego własnego miejsca: on
przeniósł się do ojca po śmierci matki,
ona mieszka ze swoją, nie mówiącą po
angielsku, matką i malutkim dzieckiem.
Stopniowo, dzięki miłości do muzyki,
ich dwa odrębne światy spotkają się.
Glen Hansard i Markéta Irglová wy-
stępują praktycznie w większości scen,
ich postaci łączy artystyczna więź,
w rezultacie zakochują się w sobie.
Chociaż żadne z nich nie jest profesjo-
nalnym aktorem, oboje Hansard i Ir-
glová zagrali swoje role z imponującą
wręcz naturalnością i ciepłem.

Cyt.: [http://www.gutekfilm.pl/once/
oprodukcji.php](http://www.gutekfilm.pl/once/oprodukcji.php)



SYLWETKI TWÓRCÓW

Glen Hansard (Muzyk)

Urodzony w Dublinie, w Irlandii w 1970 roku, solista, gitarzysta i założyciel irlandzkiej grupy rockowej The Frames. W wieku lat 13 porzucił szkołę i zaczął grać na ulicach Dublina, aby powoli wyrosnąć na jednego z najpopularniejszych i bardziej utalentowanych muzyków irlandzkich. Po raz pierwszy zwrócił uwagę publiczności jako gitarzysta Outspan Foster w filmie Alana Parkera *The Commitments*. Przed zagraniem w filmie podpisał umowę z Island Records i stworzył w 1990 roku zespół The Frames. Od tego czasu zespół nagrywa płyty i daje liczne koncerty. W jego wczesnym składzie jako basista występował John Carney. Zespół nagrał swój szósty album *The Costin* we wrześniu 2006 roku i został przyjęty przez publiczność z entuzjazmem. Po nagraniu płyty zespół wyruszył w trasę koncertową, obejmującą również USA. W kwietniu 2006 roku Hansard nagrał swój pierwszy solowy album *The Swell Season*, we współpracy z Markétą Irglovą, czeską pieśniarką i multiinstrumentalistką.

Markéta Irglová (Dziewczyna)

Urodzona w 1988 w mieście Valašské Meziříčí na wschodzie Republiki Czeskiej, multiinstrumentalistka, pieśniarka i autorka piosenek. Pomimo młodego wieku, udowodniła już swój olbrzymi talent, między innymi nagrywając płytę wspólnie z muzykiem The Frames Glenem Hansardem, u boku którego wystąpiła również w filmie *Once*. Zaczęła grać w wieku siedmiu lat, kiedy rodzice kupili jej pianino i wysłali na lekcje gry. Kiedy miała dziewięć lat, ojciec kupił jej gitarę, na której zaczęła grać bez nauki, odgrywając piosenki ze słuchu. Markéta poznała Glena Hansarda, podczas jego wizyty w Pradze, zaczęli razem grać i pisać piosenki, czego owocem jest wspólny album *The Swell Season*.

John Carney

Urodzony w Dublinie w 1972 roku. Swoją karierę filmową zaczynał jako scenarzysta, reżyser i producent dwóch krótkometrażowych, nagradzanych filmów *Shining Star* i *Hotel* oraz jako reżyser videoclipu dla irlandzkiego zespołu The Frames, w którym grał na gitarze basowej w latach 1991–1993. Jego pierwszym filmem długometrażowym była niskobudżetowa, czarno-biała produkcja *November Afternoon*. Film został uznany przez *Irish Times* za najlepszy film fabularny 1997 roku i był pokazywany na wielu międzynarodowych festiwalach. John napisał scenariusz, wyreżyserował i zmontował swój kolejny godzinny film telewizyjny *Just in Time*, w którym występowali Frances Barber i Gerard McSorley. *Irish Times* uznał go za najlepszy film telewizyjny w 1998. Następnie był współscenarzystą i reżyserem filmu *Nad przepaścią* (*On the Edge*) z Cillianem Murphy i Stephenem Rea w rolach głównych. Film został wyróżniony nagrodą Srebrnego Hitchcocka w 2001 na Festiwalu Filmowym w Dinard. John Carney jest również reżyserem i scenarzystą trzech serii najbardziej popularnego w historii telewizji irlandzkiej serialu *Bachelors Walk*, hitu stacji RTÉ. Obecnie mieszka w Dublinie i Londynie. **Filmografia:** 2008 *Zonad*, 2006, *Once*, 2001–2003 *Bachelors Walk*, 2001 *On the Edge*, 1999 *Park*, 1996 *November Afternoon*

<http://www.gutekfilm.pl/once/sylwetki.php>

Glen Hansard, Markéta Irglova Photo: Oscar 2008

<http://www.altfg.com/blog/movie/glen-hansard-marketa-irglova-photo-oscar-2008/>

Fabula filmu jest bardzo skromna, kompletnie pozbawiona wątków ubocznych. Opowiada o błyskawicznie rozwijającym się na skutek ekonomicznego boomu i szybko bogacącym się Dublinie oraz dwojgu młodych, zagubionych w tym rozgardiaszu muzykach, Czeszce i Irlandczyku. Artystach bezkompromisowych, którzy nie chcą? nie do końca potrafią? korzystać z ekonomicznej koniunktury kraju. Albo inaczej: jeszcze nie bardzo wiedzą, czego chcą, ale już wiedzą, czego na pewno nie chcą. Oboje żegnają się z poprzednim uczuciem, Dziewczyna z czeskim mężem, ojcem jej córki, Chłopak z pierwszą miłością, ale coraz bardziej są gotowi na nowy początek. Dla obojga muzyka stanowi sens życia, sposób na rozwój, nie tylko zawodowy, najbardziej oczywisty język komunikowania się z partnerem, ze światem. Ale nie tylko w kwestiach muzycznych potrafią porozumiewać się bez słów - ten Irlandczyk i Czeszka mają podobną skalę wartości i podobne życiowe priorytety. Widać, jak ważną rolę odgrywa w ich życiu rodzina - spójrzmy na czułość i troskliwość Dziewczyny wobec córki i matki czy delikatność Chłopaka wobec starego ojca! Gdyby Chłopak był Anglikiem lub Dziewczyna - Szwedką, czyli choć jedno pochodziłoby z kraju o obyczajowości liberalnej, gdzie rodzina została rozbita w perzynę, jej etos zniszczony a liczba rozwodów sięga jak w Wielkiej Brytanii 50% - ich związek z pewnością miałby mniejsze szanse na przetrwanie. U obojga z nich widać to "romantyczne myślenie" na temat miłości, rodziny, muzyki, nie tknięte cynizmem czy komercją - to także rys typowy dla "tradycyjnych" obyczajowo krajów Unii Europejskiej, Irlandii, Czech, także Polski. [...] Rzeczywistość AD 2006 Irlandii przemawia w "Once" z każdej sceny, kadru - tak więc musiał się w nim znaleźć także "motyw emigranta z Europy Wschodniej". Oto Dublin, romantyczny, z zakamarkami starego miasta, wiele zieleni, rzeka Liffey dzieląca miasto na pół, mnóstwo pomników artystów, poetów i kompozytorów - w przeciwieństwie do Anglii, gdzie na cokołach widać głównie generałów, polityków i zdobywców - sporo muzeów, także Bernarda Shaw, Daniela

Defoe, Oscara Wilde'a i Jamesa Joyce'a, "przejętych" przez literaturę brytyjską. Miły sercu Polaka bałagan, spontaniczne reakcje mieszkańców, mnóstwo pubów, w których wiele się śpiewa i tańczy, bardzo widoczna obecność obcokrajowców, zwłaszcza z Europy Środkowej. "Once", w końcu film - muzyczna etiuda, ma zadziwiająco silne osadzenie w obyczajowych realiach lat 2000. Jednak dla mnie, zajmującej się na co dzień kinem brytyjskim, najbardziej zaskakujący okazał się sposób ujęcia przez irlandzkiego reżysera "problemu emigranta", jakże inny od angielskiego! Że przypomnę tylko parę ostatnich rzeczy, "Nie-widoczni" Fearsa, "Last Resort" Pawła Pawlikowskiego czy "Polak potrzebny od zaraz" Kena Loacha. Wszystkie te filmy są próbą upolitycznienia tematu "emigranci w Wielkiej Brytanii", instrumentalizują problem i wpisują go w kontekst walki labourzystów z konserwatystami, a dziś labourzystowskiej lewicy z centrum oraz z konserwatystami. Jeśli przeanalizujemy produkcję brytyjską ostatnich lat, nie znajdziemy ani jednego filmu podobnego do "Once", a więc pokazującego po prostu historię dwojga ludzi, którzy - tak się złożyło - pochodzą z różnych stron Europy i próbują się jakoś porozumieć. Bez ideologizacji problemu, manipulowania faktami, przepuszczania ich przez filtr politycznej poprawności, a tym samym zakłamywania rzeczywistości. A przecież w istocie to takie obrazy jak "Once", pokazujące po prostu jakąś ludzką historię, bez politycznych podtekstów, "brania stron i punktów za pochodzenie", są naprawdę pozbawione etnicznych uprzedzeń, podczas gdy tamte prezentują jednak rodzaj "szowinizmu a rebours".

Oczywiście, nic nie dzieje się bez przyczyny. W tym przypadku stosunek do emigrantów Wielkiej Brytanii i Irlandii w dużej mierze wynika z historycznych uwikłań obu narodów, imperialistycznej potęgi tego pierwszego i wielusetletniej politycznej i ekonomicznej opresji drugiego. Irlandczycy, masowo opuszczający kraj na skutek brytyjskich prześladowań politycznych czy



podczas straszliwego Kartoflanego Głodu, dobrze znają gorzki los emigranta, Brytyjczycy - opuszczali kraj, aby podbić i zniewolić świat, a to wielka różnica. W latach 60. i 70., na fali "postimperialnych rozrachunków", w Wielkiej Brytanii pojawił się trend gloryfikujący dawne narody podbite, których reprezentanci zaczęli zalewać kraj, mniejszości etniczne zaczęły dostawać od liberalnych twórców filmowych "punkty za pochodzenie". Szala przechyliła się niebezpiecznie dla prawdy w drugą stronę. Dlatego jeszcze dziś Brytyjczycy, także twórcy filmowi, mają trudności z mówieniem o emigrantach. Irlandczykom debatuje się o tym znacznie łatwiej. I tak raz jeszcze sprawdza się porzekadło, że "wszystko zależy od punktu widzenia". Oraz siedzenia.

Cyt.: Elżbieta Królikowska-Avis, *Once*, „Kino” 2008, nr 3, s. 73-74 [dostęp

http://kino.org.pl/index.php?option=com_content&task=view&id=105&Itemid=103]

Once to nie bajka i Carney znakomicie uniknął największej pułapki filmu. Wymknął się z uchwytu cikliwego happy-endu, tworząc prawdziwe zakończenie, którego ciąg dalszy widzowie dopowiedzą sobie sami, w zależności od tego, na ile są romantykami. Właśnie owa życiowa wiarygodność filmu sprawia, że „Once” ogląda się z zachwytem. Z jednej strony jest w nim prawdziwa magia i uczucie, z drugiej strony jest tak 'prawdziwy', że widz bez trudu może pomyśleć, że i jemu może przydarzyć się podobna historia.

Cyt.: Marcin Pietrzyk [dostęp <http://www.filmweb.pl/reviews/Pozostanie+nam+muzyka-5364>]

Film jest wprost przesycony muzyką, przez co fabuła jest dość prosta, a dialogi skąpe, bo nie to jest w nim najważniejsze. Znamienna jest scena, w której główny bohater opowiada historię swojej dawnej miłości za pomocą szybko ułożonej piosenki. Wszystko może stać się muzyką, wystarczy wziąć gitarę, a potem to wyśpiewać. Dialog muzyczny jest o wiele bardziej poruszający i wielowymiarowy, niż dialog codzienności. Należy zaznaczyć, iż film nie posiada warstwy muzycznej jako takiej; wszystkie utwory są odgrywane bądź odtwarzane, czy to na ulicy, czy to w studio, czy też na magnetofonie. Właśnie w ten sposób reżyser budował swoistą magię "Once". Nie zaznamy tu scen onirycznych, odlotów, fantazji, czy zmyślnych metafor, jak ma to miejsce w innych filmach muzycznych (choćby w świetnym "Crazy"). Reżyser wybiera trudniejszą drogę, wybiera rzeczywistość, w której dużo trudniej objawić magię. Ukazuje ją w prostych scenach, np. kiedy dziewczyna wychodzi w nocy do sklepu i w drodze powrotnej zaczyna śpiewać swoją piosenkę. To zwyczajne i prawdopodobne zachowanie ma w sobie jednak wielką dozę niezwykłości. To, co z pozoru codzienne i zwyczajne, dzięki muzyce tych dwojga, muzyce, która towarzyszy im praktycznie nieustannie, przeobraża się w piękny sen na jawie. Oczywiście, zgodnie z zasadami, sen musi się skończyć. Do tego czasu, dwoje muzyków, których połączył wzajemny zachwyt i szacunek dla wspólnej twórczości, będą żyli i oddychali tylko jednym - wyrażaniem siebie poprzez muzykę.

Cyt.: Rafał Grynasz [dostęp <http://www.film.org.pl/prace/once.html>]

Kiedy "Once" dostał się po raz pierwszy w moje ręce, szybko rzuciłem okiem na film i byłem przekonany, że nie będzie on dla mnie. Jednak słowa samego Stevena Spielberga, który powiedział, że ten obraz naładował go pozytywną energią na resztę roku, za-

chęć mi do seansu. Byłem bardzo mile zaskoczony i po kilku dniach obejrzałem go ponownie, aby się upewnić, czy był naprawdę taki dobry, czy jedynie go trochę przecenilem... Okazało się, że jest jeszcze lepszy. [...] Nie jest to kolejny nudnawy, wyidealizowany melodramat, typu „Titanic”. Tutaj bohaterowie nie wyznają sobie wielkiej miłości, nie zakochują się w sobie od pierwszego wejrzenia, nawet nie ma ani jednego pocałunku. [...] Na koniec muszę powiedzieć, że „Once” to niezwykle oryginalny film. Niestety nie jest on dla każdego. Osoby, które lubią piękne historie miłosne z pięknymi bądź tragicznymi zakończeniami, mogą nie zrozumieć istoty tego filmu. Mimo to polecam ten film każdemu.

Cyt.: shady_88 [dostęp http://www.filmweb.pl/user/shady_88/reviews/Historia+pewnej+przyja%C5%BA-ni-7377]

A amerykańscy krytycy dwoją się i trącają, aby wtłoczyć film Johna Carneya, który zrobił furorę na zeszłorocznym festiwalu w Sundance, do jednej z gatunkowych szuflad. W ich tekstach można przeczytać, że jest on ciekawą komedią romantyczną, musicaliem, a nawet ich połączeniem, z domieszką stylistyki neorealizmu (sic!). „Once” rzeczywiście trudno jednoznacznie zakwalifikować – owszem, Carney opowiada tu love story, lecz robi to w oryginalny sposób, który sytuuje jego obraz gdzieś pomiędzy wymienionymi gatunkami, może z wyłączeniem neorealizmu, zakładającego przecież żelazną fabularną wiarygodność, tutaj nieco momentami szwankującą, co jednak nie przekreśla obrazu Irlandczyka. Bo najważniejszą rolę pełni w nim emocjonalny przekaz – a ten wybrzmiewa czysto, pozbawiony jest fałszu i autentycznie porusza. [...] Sama historia jest bowiem stara jak świat. Oto bohaterowie zakochują się w sobie, lecz odniesione wcześniej rany, jak również okoliczności życiowe (ona mieszka z matką, której nie może zostawić na pastwę losu) stanowią przeszkodę w urzeczywistnieniu tej miłości.

Co pozostaje? Muzyka, przestrzeń wolności, gdzie można wyrazić wszystko – bez strachu, ryzyka, w zawołowany, subtelny i delikatny, a przecież jakże czytelny sposób. Carney doskonale zdaje sobie sprawę z nośności tego konceptu i jest to świadomość do pewnego stopnia zgubna, ponieważ zdarza mu się przesadzać z mnożeniem sytuacji, w których Irlandczyk i Czeszka znajdują możliwość do śpiewania: a to on prosi ją o napisanie tekstu do jego piosenki, a to właściciel sklepu muzycznego jest na tyle uprzejmy, iż pozwala jej od czasu do czasu skorzystać z pianina, aż wreszcie na końcu udaje im się zdobyć pieniądze na wynajem studia, i wraz ze skompletowaną w ekspresowym tempie kapelą nagrywają kilka piosenek w profesjonalnych warunkach. Te pomysły scenariuszowe w większości nie odznaczają się zbytnim przywiązaniem do logiki, część wydaje się wręcz absurdalna albo też schematyczna. W sporo rozwiązań zawartych w „Once” trudno po prostu uwierzyć. Natomiast bez wahania wierzymy w to, co najistotniejsze – w bohaterów. Hansard i Irglova, grający w dużej mierze siebie, wypadają niezwykle prawdziwie i spontanicznie. Za wielką zasługę Carneya trzeba uznać fakt, iż jako reżyser nie przeszkadza aktorom, pozwalając im na improwizację. Potencjał tkwiący w wykonawcach zostaje świetnie wykorzystany, bo kamera ogranicza się do obserwacji ich zachowań, nie starając się w nie ingerować ani ich interpretować. W rezultacie otrzymujemy nieskażony od autorskim komentarzem przekaz, który imponuje pełną gamą uczuć, sprawiającą, iż trochę manieryczna konwencja kręcenia „z ręki” nie przeszkadza, a wydaje się idealnie dobraną formą wyrazu.

„Once” należy do tych filmów, które mówią bardzo wiele nie nadużywając dialogów, nadając każdemu gestowi, słowu, spojrzeniu, dotykowi czy też wyśpiewanej nucie ogromną wagę. Dlatego doskonale rozumiemy motywację bohaterów i kiedy on namawia ją, aby wyjechała z nim do Londynu, a ona odpowiada lekko sarkastycznym pytaniem: „Mogę wziąć moją mamę?”, wiemy wszystko. Lecz kluczowa jest inna scena, w której to mężczyzna pyta kobietę, czy kocha męża. Odpowiedź brzmi: „Ja kocham ciebie”, ale słowa te dziewczyna wypowiada po czesku, nie chce bowiem, by on je zrozumiał. Boi się konsekwencji? A może rozczarowania, cierpienia? Wie, czym to się skończy? Czyżby koniecznością wyboru między ukochanym a innymi bliskimi, którzy jej potrzebują: matką i dzieckiem? Reżyser niczego nie rozstrzyga, pozwala na swobodną interpretację, zakończenie pozostawia otwartym, zabarwiając je słodko-gorzką tonacją i aranżując w przemyślany sposób: nie mamy wątpliwości, że ta historia musiała znaleźć właśnie takie rozwiązanie. A przecież ciąg dalszy nie jest wcale wykluczony: wszak muzyka przetrwa, być może zatem inspirujące ją uczucie – również. Film Johna Carneya przynosi urzekający obraz miłości zamkniętej w ramach rzeczywistości, miłości w danej chwili niemożliwej, ale w pewnym sensie spełniającej się w dźwiękach kapitalnych piosenek. To dzieło specyficzne, ponieważ przy dłuższym zastanowieniu odśladania dużo logicznych potknięć w warstwie fabularnej, a jednocześnie wiele walorów wynoszących je zdecydowanie ponad przeciętność. To przykład skromnego, niezależnego projektu, pełnego pasji i wiary w kino

pozbawione kalkulacji, zdolne w oszczędny i prosty sposób wyrazić więcej niż niejeden ostentacyjnie szafujący emocjami melodramat. Takie kino jest potrzebne.

Cyt.: Błażej Hrapkiewicz [dostęp <http://www.stopklatka.pl/film/film.asp?fi=29596&sekcja=rencenzja-&ri=4752>]



PROCHY ANGELI

(tytuł polski)

Angela's ashes

(tytuł oryginalny)

Reżyseria – Alan Parker, scenariusz – Laura Jones i Alan Parker na podstawie powieści Franka McCourta, zdjęcia – Michael Seresin, scenografia – Geoffrey Kirkland, muzyka – John Williams.

Występują: Emily Watson (Angela), Robert Carlyle (Ojciec), Joe Breen (Dziecko), Ciaran Owens (Chłopiec), Michael Legge (Nastolatek), Ronnie Masterson (Babcia Sheehan), Pauline McLynn (Ciocia Aggie), Alan Parker (dr Campbell).

Kraj produkcji – Irlandia, USA ; Rok produkcji – 1999 ; Premiera – 25 grudnia 1999, 10 marca 2000 (Polska) ; Czas trwania – 148 min.

NAGRODY:

Nominacja (2000) do Oscara – w kategorii Najlepsza muzyka (John Williams)

Nominacja (2000) do Nagrody Złoty Glob – w kategorii Najlepsza muzyka (John Williams)

Nominacja (2000) do Nagrody BAFTA (British Academy of Film and Television Arts) w kategorii: Najlepsza aktorka pierwszoplanowa (Emily Watson), Najlepsza scenografia (Geoffrey Kirkland), Najlepsze zdjęcia (Michael Seresin)

Nominacja (2000) do Nagrody IFTA (Irish Film and Television Academy) w kategorii: Najlepszy film, Najlepsza aktorka (Emily Watson), Najlepszy aktor (Robert Carlyle). Wygrana w kategorii – Najlepszy film.

Nagroda Publiczności (2000) na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Karlovyh Varach

ZE STRESZCZENIA FILMU

Jest rok 1935. Na Brooklynie, w małym, skromnym pokoiku wynajmowanego mieszkanka przychodzi na świat Margaret Mary McCourt – córka niedawnych irlandzkich emigrantów. Podczas gdy jej matka – Angela leży w połogu, ojciec – Malachy Sr., bezrobotny alkoholik nie posiada się z dumy, przechwalając przed sąsiadami dorodną dziewczynką. Zaledwie siedmiogodniowa Margaret wkrótce umiera. Po tym nagłym, niezwykle bolesnym dla Angeli wydarzeniu, rodzina decyduje się na powrót z Nowego Jorku do Cork w Irlandii. W podróż wyruszają wraz z czwórką pozostałych dzieci – bliźniętami Eugene i Oliverem oraz Frankiem i Malachy Jr. W rodzinnych stronach przyszłość rysuje się raczej nieciekawie i jak kiedyś zastyszał Frank jest to miejsce, gdzie „nie ma pracy, a ludzie umierają z głodu i ubóstwa”. W ojczystych stronach (Limerick) czeka ich chłodne powitanie ze strony katolickiej rodziny Angeli. Jej matka, siostra Aggie i brat Pat nigdy do końca nie zaakceptowali małżeństwa z protestantem z Belfastu. Babcia pożyczka początkowo rodzinie pieniądze, aby mogli wynająć małe mieszkanie na Windmill Street. Nie wygląda na to, żeby miało im sprzyjać szczęście również i w tym miejscu – Ojciec (Malachy Sr.) nie może znaleźć pracy, a Oliver umiera z niedożywienia. Ten sam los spotyka wkrótce drugie z bliźniąt – Eugene. Ojciec topi swoje smutki w alkoholu i coraz bardziej się stacza.

Angela nieustępliwie walczy o byt w imię utrzymania pozostałych przy życiu dzieci. Z prośbą o pomoc zwraca się do stowarzyszenia charytatywnego St Vincent de Paul – mają oni wesprzeć ją w zorganizowaniu mebli i nowego materaca. Frank jest świadkiem poni-



żającej rozmowy matki, podczas której musi ona odpowiadać na krępujące pytania związane z życiem rodziny i perspektywami zatrudnienia swojego męża. W końcu rodzina przeprowadza się na Roden Lane, mając nadzieję podwyższyć nieco standard swoich warunków bytowych. Niestety, ich nadzieje wkrótce zostają rozwiane. Na przeciwko wejścia do mieszkania znajduje się ubikacja, z której korzystają wszyscy mieszkańcy ulicy, a wewnątrz panuje okropna wilgoć. W tym właśnie momencie Angela znowu zostaje matką – na świat przychodzi Michael.

Frank i Malachy Jr. zaczynają uczęszczać do państwowej szkoły i wkrótce stają się obiektem zaczepek swoich rówieśników (dzieci wyśmiewają się z ich biedy, butów zreperowanych przez ojca za pomocą dętki od roweru). Frank już pierwszego dnia otrzymuje karę cielesną za bójkę na szkolnym podwórku.

Ojcu udaje się w końcu znaleźć pracę w lokalnej fabryce cementu. Niestety utrzymuje ją tylko przez jeden dzień, gdyż po otrzymaniu swojej dniówki natychmiast udaje się do pubu, przepija pieniądze, wraca nieprzytomny do domu i następnego dnia nie zdąża do pracy, bo zasnął. Frank i Malachy, którzy obserwują zachowanie ojca powoli zaczynają mieć dosyć takiego życia.

Wielkie oczekiwania związane są z uroczystością pierwszej komunii Franka. W szkole chłopcy zostali poinstruowani jak należy się zachować podczas ceremonii kościelnej. W tym ważnym dniu, obfite śniadanie u babci sprawia, że chłopiec z przejedzenia wymiotuje. Babcia nie jest zatem pewna, co powinni w tej sy-

Cyt: <http://film.interia.pl/filmy/film/prochy-angeli/o-filmie/news/czolow-ka,22566,826243> ; http://www.film.gildia.pl/filmy/angelas_ashes ; <http://www.filmweb.pl/film/Prochy+Angeli-1999-854>

tuacji zrobić i nalega żeby udać się do księdza po poradę, czy komunię należy uznać za ważną, czy też nie.

Wraz z pojawieniem się w rodzinie nowego dziecka - Alpie, rodzina ojca przekazuje im pięć funtów. Niewiele myśląc Malachy czym prędzej udaje się z tą sumą do pubu. Matka wysyła Franka, żeby publicznie oświadczył, że przepija on pieniądze przeznaczone na nowe dziecko. Frank jest świadkiem jak pijany ojciec zachowuje się w sposób żałosny i godny politowania - sam do siebie wyśpiewuje melodie. Chłopiec nie może się przełamać żeby podejść do ojca - ma jeszcze w pamięci miłe chwile spędzane razem z nim, kiedy to ojciec właśnie opowiadał mu stare, irlandzkie historie.

Na skutek zarażenia tyfusem Frank trafia do szpitala. W dość nieoczekiwany sposób wiążą się z tym dla chłopca pewne przyjemności. Ciepłe kąpiele, czysta pościel bez pcheł, własna ubikacja i książki - szczególnie zaś Shakespeare. Niestety chłopiec musi zapłacić za te „przedłużone wakacje”, podczas których stracił kilka miesięcy nauki w szkole. Zmuszony jest dołączyć do klasy niżej. Wkrótce jednak wraca do swojej poprzedniej klasy, po tym jak nauczyciel docenił jego doskonale wypracowanie zatytułowane „Jezus i pogoda”.

Nowa fala optymizmu pojawia się wraz z otrzymaniem przez ojca propozycji pracy w Anglii. Angela pozostaje sama z dziećmi, Malachy Sr. obiecuje zaś przysyłać co tydzień telegram i przekaz pieniężny. Żadna przesyłka nie nadchodzi jednak i kobieta zmuszona jest zebrać o jedzenie przed drzwiami księdza. Frank jest już na tyle duży, że sam może zacząć szukać pracy. Pierwsza jaką znajduje związana jest z roznoszeniem węgla i nie trwa zbyt długo, ponieważ chłopiec dostaje niezwykle ciężkiego zapalenia spojówek.

Nadchodzą święta Bożego Narodzenia. Rodzina oczekuje powrotu ojca. Jak zwykle pojawia się on o dzień później niż oczekiwano, z pustymi rękoma i w dodatku poobijany, w wyni-

ku bójk, w którą się wdał. Na stole świątecznym pojawia się jedynie potrawka z głowy owcy, a ojciec następnego dnia znowu opuszcza rodzinę, tym razem jak się okazuje na zawsze.

Pieniądze przychodzą na tyle rzadko, że Angela nadal musi błagać o kawałek chleba. W swoich marzeniach Frank coraz częściej powraca myślą do Ameryki, postrzegając ją jako miejsce, gdzie „nikt nie ma zepsutych zębów i każdy ma swoją ubikację”. Sprawy w rodzinie wyglądają coraz gorzej - McCourtowie otrzymują eksmisję, babcia umiera. Wszyscy zmuszeni są zamieszkać z kuzynem Lamanem Griffinem, który traktuje ich jak swoich niewolników, a od Angeli dodatkowo oczekuje dostarczania mu cielesnych przyjemności. Frank nie może znieść zachowania Lamana i pewien jest, że zabiłby go gdyby dłużej z nim przebywał. Zmuszony jest zatem zamieszkać z wujem Patem.

Chłopak dostaje pracę telegrafisty i z dumą paradytuje teraz w ubraniu pożyczonym mu przez ciotkę Aggie. Na służbie przypadkowo trafia do domu Theresy Carmody, pięknej dziewczyny, chorej na suchoty. Frank zakochuje się w niej. Niestety, Theresa wkrótce umiera a chłopak pogrążony jest w smutku, dręcząc go wyrzuty sumienia. Jest przekonany, że śmierć dziewczyny jest karą od Boga za zbliżenia cielesne, które między nimi nastąpiły.



Splot wydarzeń sprawia, że Frank nawiązuje kontakt z osobą pani Finucane, miejscowej lichwiarki. Płaci ona chłopakowi za pisywanie do dłużników listów ponagających do oddania pieniędzy. Nie jest to przyjemna praca, jednakże Frankowi przyświeca nowy cel - pragnie wyjechać do Ameryki. Pewnego dnia, kiedy zjawia się w mieszkaniu kobiety i znajduje ją martwą, nie waha się przed zabranie sumy pieniędzy, która ma mu wystarczyć na podróż za Ocean.

Kiedy pewnego dnia po wizycie w pubie Frank wraca do domu i pijany uderza matkę, przychodzi do niego refleksja, że jeśli zostanie dłużej w Irlandii może skończyć podobnie jak jego ojciec. Nie ma już dla niego odwrotu - wyrusza w podróż do Ameryki. Kiedy oczom jego ukazuje się Statua Wolności, Frank wie już, że była to słuszna decyzja i że znowu jest w domu.

Cyt: <http://www.stopklatka.pl/film/film.asp?fi=1505&sekcja=1>

HISTORIA Z KSIĄŻKI

Frank McCourt przyszedł na świat w 1934 roku na Brooklynie, w czasie kryzysu. Był synem irlandzkich emigrantów, którzy po pewnym czasie zdecydowali się wrócić do rodzinnego Limerick. Matka Franka - Angela, nigdy nie miała wystarczająco pieniędzy, aby wyżywić dzieci, ponieważ jej mąż, Malachy, rzadko znajdował sobie jakąś pracę, za to często przepijał wszystkie pieniądze jakie zarobił. Pomimo tego, to właśnie Malachy - nieodpowiedzialny, wiecznie rozdrażniony i złudny w swoich obietnicach zaszczerpił w chłopcu jedyną wartościową rzecz, jaką potrafił - miłość do opowiadań. Frank żył opowieściami ojca o Cuchullanie, który uratował Irlandię, czy też Aniele, który przynosi mamie kolejne dzieci.

Być może to właśnie owe historie pozwoliły Frankowi przetrwać tak trudne dzieciństwo. Ubrany w łachmany, niedożywiony, zebrający o ochłapy na wigilijny stół, wiecznie zbierający na drodze kawałki węgla, żeby móc ogrzać mieszkanie, chłopiec znosi to wszystko godnie - biedę, głód i okru-

cięństwo ze strony sąsiadów i kuzynów. Żyje chcąc opowiedzieć swoją przejmującą historię z niezwykłym entuzjazmem i przebaczeniem zarazem. McCourt wrócił do Nowego Jorku w wieku 19 lat. Tam zaczął pracować w szkole jako nauczyciel języka angielskiego. Zajmował się tym przez następnych 45 lat. Już mając dwadzieścia kilka lat wiedział, że fascynuje go pisarstwo i że to właśnie chce robić. Przez długi czas powstrzymywał się przed opisaniem historii swojego dzieciństwa, ponieważ uważał, że nie jest ona wystarczająco interesująca. Nie był pewien odbioru swoich wspomnień przez czytelników i sądził, że niewielu mogłoby one zainteresować. Jednak już wtedy zaczął robić pierwsze notatki związane z różnymi aspektami swojego dzieciństwa.

Ostatecznie inspiracją do napisania dziennika z „przeszłości” było zadanie domowe, które zlecił swoim uczniom. Zdecydował się na tytuł „Prochy Angeli”, ponieważ książka miała kończyć się w momencie śmierci matki w 1981 roku i wspomnieniem rozrzucenia jej prochów nad rodzinnym podwórkiem w Limerick. Wydawcy książki przekonani byli, że jest w niej aż nadto treści i postanowili skrócić ją do momentu osiągnięcia przez Franka wieku 19 lat.

Książka „Prochy Angeli” wkrótce stała się międzynarodowym fenomenem, a w 1997 roku wyróżniona została Nagrodą Pulizera. Kontynuacją losów Franka była kolejna pozycja zatytułowana „Tis” (ostatnie słowo napisane w „Prochy Angeli”), która opisywała życie chłopaka po przybyciu do Stanów Zjednoczonych.

Cyt.: <http://www.stopklatka.pl/film/film.asp?fi=1505&sekcja=2>



AKTORZY

Emily Watson (Angela McCourt - Matka)

Emily Watson po raz pierwszy zwróciła na siebie uwagę dzięki niezapomnianej kreacji Bess w filmie Larsa Von Triera „Przełamując fale”. Był to jej debiut fabularny, wyróżniony między innymi nominacjami do Oscara i Złotego Globu oraz nagrodzony New York Film Critics Circle Award, Felixem dla najlepszej aktorki i nagrodą London Film Critics Circle Award dla „nowej twarzy” 1997 roku. Kolejne nominacje do prestiżowych nagród (Oscar, Złoty Glob, SAG, BAFTA) przyniósł jej w 1999 roku film Ananda Tuckera „Hilary i Jackie”, w którym zagrała rolę Jackie. Watson ma na swoim koncie również inne znakomite filmy, w tym „Bokser” Jima Sheridan, w którym wystąpiła razem z Danielem Day-Lewisem oraz „Metroland” z Christianem Bale.

Emily Watson o roli Angeli:

„Angela jest typem kobiety, która pomimo przeciwności losu nie poddaje się. Uparcie stara się utrzymać swoją rodzinę, a rzeczą, która z pewnością jest jej zasługą jest wychowanie Franka McCourta. Zdarza jej się, że czuje się pokonana. Historia opowiedziana w filmie zaczyna się od momentu, kiedy doznaje ona załamania nerwowego i w krótkich odstępach czasu traci troje swoich dzieci. Moim zdaniem wyjście z podobnej sytuacji graniczy niemal z cudem. Nie ulega zatem wątpliwości, że jest ona pokonana. Nie poddaje się jednak, idzie do przodu, wychowuje i karmi dzieci, w końcu doprowadza do tego, że Frank wraca do Ameryki. Sądzę, że relacja między Frankiem a jego matką jest o wiele bardziej ambiwalentna niż z ojcem.”

„W celu lepszego zapoznania się z rolą chciałam zobaczyć w jakiej scenerii rozgrywały się wydarzenia opisane przez McCourta. Udałam się zatem do Limerick - niestety większość obiektów dawno już przestała istnieć. Dla mnie rola Matki wymagała połowicznie aktorstwa, połowicznie zaś niańczenia - w filmie cały czas zajmuję się przecież dziećmi. W tym leży całe sedno tej roli. Angela siedzi cały czas w domu i pali - papieros w jednym ręku, dziecko w brudnych pieluchach w drugim. W tych małych szczegółach ukryta jest istota obrazu. Angela nie jest w stanie podnieść głowy i spojrzeć na świat z innej perspektywy”.

ROBERT CARLYLE (Malachy McCourt - Ojciec)

Szkocki aktor Robert Carlyle wcielił się w rolę Malachy McCourta. Publiczność kinowa prawdopodobnie najlepiej pamięta aktora z doskonałych kreacji w filmach „Trainspotting” i „Goło i wesoło”. Naukę rozpoczynał on w Royal Scottish Academy of Music and Drama, gdzie wyróżniony został nagrodą Duncan Macrae Memorial for Scots Verse.

Wraz ze współtworzonym przez siebie zespołem teatralnym Rain-Dog Theatre Company Carlyle wyreżyserował sztuki „Wasted”, „Łot nad kukulczym gniazdem”, „Conquest of the South Pole” i „Makbet”. Jako aktor współpracował również ze sceną teatralną Traverse Theatre (sztuka „Dead Dad Dog”), Tag (rola Malvolio w „Wieczorze Trzech Króli” i Rodrigo w „Othello”) oraz &84 („No Problem” i „No Mean City”). Carlyle debiutował w szkolnej produkcji filmowej „Apprentices”. Pierwszą większą rolę zagrał w obrazie „Silent Screem” w reżyserii Davida Haymana, nagrodzonym na festiwalu w Berlinie. Filmografia aktora to również: „Riff-Raff” (Europejski Film Roku 1991), „Being Human” Billa Forsytha oraz kontrowersyjny obraz Antonii Bird „Ksiądz” (rola tytułowa). Kolejne filmy z jego udziałem to wspomniany już „Trainspotting” oraz „Goło i wesoło”, za rolę w którym wyróżniony został nagrodą BAFTA dla najlepszego aktora (1998). Aktor zagrał w „Carla’s Song” Kena Loacha, „Face”, „Plunkett & Macleane”,

„Ravenous” i kolejnej części przygód Jamesa Bonda „Świat to za mało”.

Robert Carlyle o roli Malachy'ego:

„Tak naprawdę Malachy jest typem zupełnie 'bezużytecznego' faceta, nie jest jednak człowiekiem złym. Starłem się zatem odnaleźć jakieś jaśniejsze strony jego charakteru, próbując namalować obraz mężczyzny, który nie potrafi sprostać swoim obowiązkom - to zresztą jest największy zarzut w stosunku do niego. Notorycznie zostawia swoją rodzinę na lodzie, nie jest w stanie utrzymać żadnej pracy, a jeśli już dostanie pracę, to natychmiast idzie przepić zarobione pieniądze. Nie jest to z jego strony działanie podszyte złymi intencjami, nigdy nie jest on nawet agresywny w stosunku do swojej rodziny. Malachy jest po prostu zupełnie bezużyteczny”.

„Wydawało mi się zbyt proste i szablonowe odmalowanie na ekranie tego człowieka jako 'czarnego charakteru'. Ja postrzegam go raczej jako ofiarę, podobnie jak ma to miejsce w przypadku całej rodziny, ofiarę okoliczności w jakich wszyscy się znaleźli. Jego winą jest jednak to, że poddał się nałogowi alkoholizmu.”

MICHAEL LEGGE

(Frank - nastoletni)

Michael Legge odtwarza w filmie rolę starszego już Franka. Osobą, która zachęciła chłopca do gry aktorskiej był nauczyciel Sean Hollywood, postać znana i szanowana w całej Irlandii ze względu na swoją umiejętność wyłapywania młodych talentów. Jeszcze w szkole podstawowej Legge wystąpił w wielu sztukach, zarówno współczesnych, jak i klasycznych. Jego filmografia to: „Stray Dogs”, „Soft Sand”, „Blue Sea”, „Whatever Happened to Harold Smith?” Petera Hewitta oraz „Precious Blood”.

CIARAN OWENS (Frank - chłopiec)

13-letni Ciaran Owens został wybrany do roli Franka - chłopca. Ciaran jest bratem Eamonna Owensa, który zagrał tytułową rolę w filmie Neila Jordana „Chłopak rzeźnika”. Młody aktor zdążył już zagrać w „Agnes Brown” Anjeliki Huston oraz dwóch popularnych serialach telewizyjnych „Eureka Street” i „Ballykissangel”.

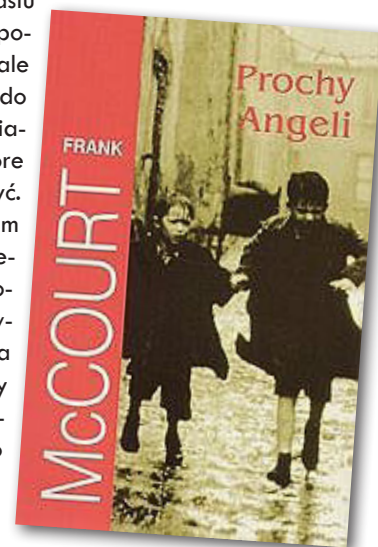
JOE BREEN (Frank - dziecko)

Spośród 15.000 młodych aktorów, którzy zgłosili się na przesłuchanie do roli Franka i jego przyjaciół (w trzech grupach wiekowych), ośmioletni Joe Breen wybrany został ostatecznie jako Frank - dziecko. Chłopiec nigdy wcześniej nie występował na ekranie. Jest synem farmera z County Wexford i zgłosił się na przesłuchanie po przeczytaniu ogłoszenia w The Irish Times. O wyborze właśnie jego ostatecznie zdecydował sam reżyser Alan Parker.

Cyt.: <http://www.stopklatka.pl/film/film.asp?fi=1505&sekcja=6>

RECENZJE

Powieść Franka McCourta, wydana w Polsce jako „Popiół i żar”, ogłoszona została wydarzeniem z kilku co najmniej powodów. Po pierwsze, jest dziełem 62-letniego debiutanta, dziś laureata prestiżowej Nagrody Pulitzera. Po drugie, opisuje od środka irlandzką rodzinę protestancko-katolicką z ogółem obyczajowych konsekwencji tego stanu. Po trzecie, opis ten poprowadzony jest z taktem i zrozumieniem okoliczności, odwołuje się do najlepszych tradycji prozy anglojęzycznej - napisany ze swadą i poczuciem humoru, osobisty, lecz z dystansu, głęboko realistyczny, ale pełny nadziei i wiary w możliwość odmiany przygnębiającego losu. Po czwarte wreszcie, autor wybiera na swych bohaterów Irlandczyków, którzy - osobna kwestia, dlaczego - reemigrują z Ameryki w ojczyste strony. Czyżby więc zaprzeczenie mitu Ameryki jako „ziemi obiecanej”? Bynajmniej - po kilkunastu latach bohater powraca za Ocean, ale w przeciwieństwie do swych rodziców świadomy celów, o które gotów jest walczyć. „Prochy Angeli”, film Alana Parkera według powieści McCourta, sumuje zarówno doświadczenia pisarza, który nigdy nie ukrywał autobiograficznego charakteru swej powieści, jak i reżysera - uznanego twórcy i czołowej postaci brytyjskiego kina. Z jednej więc strony mamy przejmującą historię irlandzkiego małżeństwa, które nie potrafi sprostać wyzwaniu stawianemu emigrantom przez Amerykę i powraca do rodzinnego Limerick w samym środku Wielkiego Kryzysu. Jesteśmy świadkami z jednej strony porażającej bierności, z drugiej zaś - narastającej choroby alkoholowej ojca rodziny, który zresztą coraz bardziej się od niej oddala. Malachy McCourt jest pochodzącym z Ulsteru protestantem, reszta rodziny wyznaje katolicyzm, toteż jego zachowanie traktowane jest jako dopust Boży. Charakterystyczne, że nikt nie próbuje przeciwdziałać upadkowi Malachy'ego, rodzina co najwyżej angażuje się w pomoc licznych dzieciom, dbając głównie o katolickie wychowanie. Oczywiście, można by na tej płaszczyźnie szukać wyjaśnienia irlandzkich problemów i konfliktów, ale ani McCourt, ani Parker nie wdają się w religijno-polityczne spekulacje - religia jest tu częścią obyczajowości, co miewa rozliczne skutki, zabawne lub nie, ale zawsze zasługujące na refleksję.



Ale warto na „Prochy Angeli” spojrzeć nie tylko jak na zręczną ekranizację dzieła Franka McCourta. Dla miłośników twórczości Alana Parkera będzie to prawdziwa uczta. Doskonale prowadzenie młodych aktorów (aż trzech chłopców gra alter ego narratora) to wspomnienie z „Bugsy Malone”, determinacja bohatera przywodzi na myśl „Midnight Express”, z kolei nastrój przeciwstawienia się otaczającej beznadziei i w ogóle znajomość irlandzkiego charakteru to wątek z „The Commitments”. No i to przywiązanie do detalu, nadawanie mu specjalnego znaczenia poprzez operowanie szybkim montażem - doświadczenie wyniesione z pracy w reklamie. Ale nie wolno jednocześnie zapominać, że dzisiejszy Alan Parker to także szef brytyjskiej kinematografii, dbający o promocję jej dokonań. „Prochy Angeli” odwołują się więc do tego, co we współczesnym kinie brytyjskim najciekawsze - do nurtu antythatcherowskiego, tego, co nazywane bywa „nowym kinem”, choć jego korzenie tkwią jeszcze w czasach „młodych gniewnych”. To nawiązanie to nie tylko obecność w kadrze Roberta Carlyle’a, wyrastającego na gwiazdę o znaczeniu międzynarodowym, i Emily Watson, ale przede wszystkim wyrazistość kreowanych na ekranie sytuacji i pozostawienie komentarza widzowi.

Cyt.: Konrad J. Zarębski [dostęp <http://film.onet.pl/recenzje/prochy-angeli,1,3838292,wiadomosc.html>]

Komponowanie muzyki do filmów to dla jednych rzemiosło, a dla innych okazja do pokazania prawdziwego talentu. W przypadku *Prochów Angeli* mamy do czynienia ewidentnie z drugim przypadkiem, chociaż – o ironio – sam John Williams, autor tego wspaniałego soundtracku mówi o swojej pracy, że jest...zwykłym rzemiosłem. Niechby i było! Oby każdy inny współczesny nam kompozytor z młodego pokolenia tworzył takie „rzemiosło”. Powstałe w 1999 roku i nominowane do Oscara dzieło nestora muzyki filmowej Johna Williamsa to ilustracja dramatu Alana Parkera o trudach irlandzkiej emigracji w latach Wielkiej Depresji. Obraz oparty został na autobiograficznej powieści Franka McCourta i jest opowie-

ścią o losach irlandzkiej rodziny, którą los targa pomiędzy USA a Irlandią. Występuje w nim dwoje znanych aktorów – Emily Watson i Robert Carlyle (*Full Monty, The World Is Not Enough*). Film dzięki muzyce Johna Williamsa wiele zyskał, a kompozycja sama w sobie jest warta każdej minuty słuchania...

Każdy, kto choć trochę zna świat muzyki filmowej wie co dlań znaczy nazwisko Williams, John Williams. Dzisiaj to już praktycznie człowiek – instytucja, ze swoimi czterdziestoma kilkoma nominacjami do Oscara i pięcioma statuetkami na koncie, niezliczonymi nominacjami Golden Globe i Grammy. Opromieniony blaskiem chwały głównie w drugiej połowie lat 70 i w latach 80, Williams od ostatniej dekady ubiegłego wieku zaczął kierować się bardziej w stronę wymagającego repertuaru filmowego, aniżeli tylko filmy sci-fi i przygodowe. Świetnie w swojej klasie, wielkie widowiska, typu *Star Wars*, czy *Indiana Jones*, chyba przestały wystarczać nestorowi amerykańskiej muzyki filmowej. Stąd nie dziwi udział w takich projektach, jak *Lista Schindlera* w 1993 roku, od której umownie przyjmuje się, że Williams wkroczył na „poważną” ścieżkę swojej kariery, tworząc od tego czasu więcej muzyki do filmów dramatycznych. Nie będąc gołostownym można wyliczać dalej: *Sleepers* (1996), *Nixon* (1995) *Seven Years In Tibet* (1997), *Amistad* (1998). *Angela's Ashes* stanowi kolejny przykład komponowania do filmów z innej półki, do filmów z poważnym rodowodem.

Opowieść o dziejach irlandzkich tułaczy to wdzięczny temat do ilustracji muzycznej. Williams mógł ulec pokusie użycia muzyki typowo etnicznej, co częściowo zrobił w przypadku *Far And Away*. Jednak nie uległ...Postawił na swój już całkiem dobrze znany styl ilustracji dramatycznej. Nie znajdziemy tu takiego zawrotnego tempa, jak w *Star Wars*, ale piękną lirykę i melancholię. Klimat zadumy i smutku udało się tak dobrze wykreować dzięki mariażowi fortepianu – instrumentu wiodącego – i bogatej sekcji smyczkowej. Płytę wzbogacają również interesujące solówki na rozmaite instrumenty – chociażby obój czy harfę (*My Dad's Stories, Land of Lime-*

rick). *Score bazuje na jednym temacie, umiejętnie rozwijanym i przetwarzanym, a całość spina klamrą wykonanie w pełni orkiestrowe, z wyraźną dominantą fortepianu (*Theme from Angela's Ashes, Angela's Ashes Reprise*). Williams wyraźnie wzorował się na twórcach ery romantyzmu, bowiem temat z *Prochów Angeli* nadzwyczaj mocno przypomina Suitę *Peer Gynt* Edwarda Griega a także utwory Czajkowskiego. Nie uświadczymy tu ani jednej nuty z sekcji dętej – cały soundtrack opiera się wyłącznie na grze instrumentów smyczkowych i strunowych. Jednak najapetyczniejsze kąski to przetworzenia głównego tematu – np. *Looking For Work*, ze smutnym solo na oboju, wspartym grą na harfie i złowieszczo brzmiącą solówką na skrzypcach a'la *Lista Schindlera* i kończącym się dumną i wspaniałą codą całej orkiestry. Przyjemną odmianę przynosi również *pizzicato w *Delivering Telegrams*, a fantastyczny, optymistycznie brzmiący *Back To America* kończy główną narrację muzyczną tego score'u. Płyta zawiera dwa utwory z muzyką źródłową – *Pennies In Heaven* oraz *The Dipsy Doodle*. Wydanie amerykańskie *Prochów Angeli* zawiera w kilku ścieżkach dialogi z filmów, czego na szczęście w wydaniu Decca Records uniknięto.

Słuchanie muzyki z filmu *Angela's Ashes* zawsze należało do największych przyjemności. Klasycznie brzmiąca orkiestra i perfekcyjne wykorzystanie instrumentów do zbudowania odpowiednich nastrojów i emocji zasługują na uznanie. Soczysta *sekcja smyczkowa, ciemna barwa brzmienia wiolonczel i smutny, aczkolwiek przepiękny temat grany na fortepianie, całość zaś w konwencji romantycznej drugiej połowy lat XIX wieku. To naprawdę udana recepta na stylowy i wysmakowany *score do dramatu o losach irlandzkiej emigracji. Moim zdaniem soundtrack jakich niewiele i jakich chciałbym aby było najwięcej. Płytę tę polecam estetom i poszukującym wrażeń w bardziej klasycznym wydaniu.

Cyt.: Janusz Pietrzykowski [dostęp <http://soundtracks.pl/reviews.php?op=show&ID=763>]

Zespół Duan powstał w 2005 roku i wykonuje tradycyjną muzykę irlandzką. W jego skład wchodzi doświadczeni muzycy, którzy stale doskonalą swoje umiejętności uczestnicząc w projektach, warsztatach i różnorodnych wydarzeniach muzycznych, w tym również w Irlandii.

DUAN

Duan, hołdując idei wykonywania muzyki irlandzkiej blisko jej tradycyjnego brzmienia, uznawany jest za jeden z najlepszych tego typu zespołów w Polsce. Instrumentarium zespołu jest charakterystyczne dla tradycyjnej muzyki irlandzkiej i stanowi je: irlandzki flet poprzeczny, tin whistle, bodhran (bęben irlandzki), skrzypce, bouzouki, gitara, akordeon. Zespół posiada w swym składzie wokalistę, w związku z czym repertuar Duanu to nie tylko pełne naturalnej energii, pulsujące melodie, ale również zaważki, knajpiane przyśpiewki i liryczne pieśni.

W 2007 roku zespół stworzył utwory dla produkcji gry „Wiedźmin”, które zostały wydane na płycie promującej grę. Współpracował z wieloma grupami tańca irlandzkiego w Polsce.



Najważniejsze festiwale, na których wystąpił zespół

III Festiwal Muzyki Celtyckiej „ZAMEK” 2005 w Będzinie;
 II Dni Irlandzkie w Toruniu;
 IV Festiwal Muzyki Celtyckiej „ZAMEK” 2006 w Będzinie;
 Festiwal Kultury Celtyckiej DOWSPUDA 2007;
 III Dni Irlandzkie w Toruniu;
 Festiwal BELTAINE w Jindrichuv Hradec w Czechach 2008;
 Etno Cross Festiwal 2008 w Warszawie;
 Browar Irish Folk Festiwal w Żywcu 2008;
 VI Festiwal Muzyki Celtyckiej „ZAMEK” 2008 w Będzinie;
 Festiwal Mediawave 2009 w Mysłowicach;
 Artbem Celtic Music Festiwal 2009 w Warszawie;
 Festiwal „Szanty nad zalewem” 2009 w Wieliszewie;
 VII Festiwal Muzyki Celtyckiej „ZAMEK” 2009 w Będzinie;
 VIII FMC „ZAMEK” 2010 w Będzinie;
 IX FMC „ZAMEK” 2011 w Będzinie.



W Polsce działa wiele grup tańca irlandzkiego, takich jak Setanta, Elphin, czy łódzki Feirin. Fascynują one nie tylko swoimi strojami, ale też choreografią i pasjonującymi historiami. Ale jak wygląda praca w takim zespole? Skąd biorą się stroje czy pomysły na tańce? Jak wyglądają próby? W końcu taki rodzaj tańca wymaga nie lada zręczności i niesamowitej synchronizacji. Nam udało się odwiedzić łódzki zespół Feirin, zrobić kilka zdjęć i porozmawiać z jego członkami.

OD GNIEWU DO TAŃCA

Żeby powstał zespół, musi się znaleźć osoba, która go założy i zacznie przekazywać swoją wiedzę i umiejętności innym. W tym przypadku tą osobą jest Pani Agnieszka Bogacka.

– Skąd się wziął pomysł na założenie zespołu tańca irlandzkiego? – pytamy.

– Z Gniewu. – odpowiada ze śmiechem Pani Agnieszka.

– Pewnego dnia podczas turnieju rycerskiego w Gniewie, ujrzałam kobietę tańczącą taniec irlandzki i opadła mi szczeka. – tak założycielka wspomina tamto wydarzenie. Następne lata stały pod znakiem szlifowania umiejętności w Gdyni, gdzie wówczas mieszkała. Gdy Pani Agnieszka osiągnęła już pożądane efekty, przyszedł czas na uczenie innych. Po dwóch latach udzielania lekcji; przyjechała do Łodzi, gdzie postanowiła założyć swój własny zespół tańca irlandzkiego.

Ale skąd wziąć nazwę? – Na początku było Bronntanas, bo ciekawie brzmi



POLSKA DRUGĄ IRLANDIA... W TAŃCU!

Rozmowa z tancerzami z zespołu Feirin

Taniec irlandzki jest bez wątpienia atrakcyjną dyscypliną dla widzów. Podziwianie tancerzy, którzy wykonują idealnie zsynchronizowane układy taneczne bez najmniejszego zawahania, jest prawdziwą uczcą dla oka.

i ma interesujące znaczenie; „bronntanas” to dar, rozumiany zarówno jako talent, jak i podarunek. – opowiada Pani Agnieszka. Jednak zespół stwierdził, że Bronntanas jest zbyt trudnym słowem, w związku z czym nazwa została zmieniona na Feirin, co znaczy dokładnie to samo.

CO JEST NAJTRUDNIEJSZE?

– Dla mnie największym problemem jest postawa i utrzymanie jej w tańcu – śmieje się Margo. Na dowód przytacza anegdotę z warsztatów w Krakowie, które poprowadził irlandzki tancerz znany ze swojej współpracy z słynną rewią Riverdance, Shane McAvinchey. Irlandczyk na wstępie przedstawił rygorystyczne wytyczne odnośnie postawy, po czym powiedział, że jeśli ktoś czuje się komfortowo oznacza to, że robi coś źle. Maciek, jedyny przedstawiciel płci męskiej udzielający wywiadu, dodaje, iż sporych trudności przysparza także zapamiętanie wszystkich

kroków i wskazówek dotyczących kolejnych figur i postawy.

– Poza tym taniec irlandzki jest wyjątkowo wymagającą fizycznie dyscypliną – trzeba mieć do tego nie lada kondycję i zacięcie. – dodaje.

Ale opłaca się; taniec wspaniale ćwiczy koordynację. Oczywiście, nic nie przychodzi od razu, ale z czasem taniec irlandzki przynosi wymierne efekty. I jest doskonałą zabawą, co podkreślają wszyscy obecni. – Można też wspaniale wyrzeźbić pośladki. – śmieje się Margo.

Jak wiadomo, każdy sport niesie ze sobą ryzyko kontuzji. A jak jest w przypadku tańca irlandzkiego? Czy jest bardzo niebezpieczny? I co jest przyczyną najczęstszych kontuzji?

– Lenistwo. – odpowiada zdecydowanie Pani Agnieszka. – Szczególnie kiedy tancerz się nie rozgrzewa, przez co

zdarzały się u nas nawet naderwane ścięgna.

Niestety, do niektórych urazów dochodzi również z winy organizatorów – na przykład przez dziury w scenie. I takie rzeczy się zdarzały!

A jak wyglądają zwykłe zajęcia tańca irlandzkiego?

– Agnieszka krzyczy, a my próbujemy się skupić. – śmieją się dziewczyny. – Pani Agnieszka kładzie duży nacisk na rozgrzewkę, bo bez tego ryzyko kontuzji jest dość duże. Zazwyczaj po skończeniu rozgrzewki trenujemy opracowany zestaw tańców, czasami przerywany rozciąganiem. Nie jest ono zbyt lubiane, bo jak podkreślają wszyscy bywa bardzo bolesne.

– Kiedy Agnieszka mówi, że się kładziemy, to znaczy, że będzie bolało. – ostrzega Margo.

JAK SIĘ UBRAC?

W tańcu wielką, jeśli nie największą, rolę odgrywa obuwie. – Do większości tańców wykonywanych przez Feirin, buty powinny być dla wygody miękkie, nie mieć w żaden sposób utwardzonej podeszwy, nawet do tego stopnia, żeby można je było zwinąć w rulonik i schować do kieszeni. – tłumaczy Pani Agnieszka.

Prawdziwi zawodowcy są jednak w stanie zatańczyć w każdym obuwie. Pani Agnieszka opowiada nam historię o tym, jak Michael Flatley zatańczył fantastycznie w zwykłych adidasach. – Można było usłyszeć każde uderzenie o posadzkę. – wspomina tancerka. Na scenie jednak o wiele lepiej sprawdza-



Najwygodniejsze są tzw. miękkie buty (ang. „soft shoes”)

ją się baletki – chodzi bowiem nie tylko o wygodę, ale również wygląd, bo jednak publiczność patrzy na wszystko.

OD IDOLA DO PRZYJACIELA

Na pytanie o swoich idoli, Margo przytacza polską parę tancerzy – Dorotę Czajkowską i Michała Piotrowskiego. Oboje tworzą duet Celtic Senses, bardzo dobrze znany w świecie tańca – każde z nich zdobyło już niejedno mistrzostwo. Pewna zabawna historia wiąże się z samą Dorotą, która gościła w Łodzi na warsztatach i współpracowała z zespołem Feirin. Ku zaskoczeniu grupy, tancerka okazała się zupełnie normalną osobą, która nie ma w sobie nic z gwiazdy. – Okazało się, że ludzie, którzy robią tak fantastyczne rzeczy, to zwykli śmiertelnicy. – opowiada Margo. – Bolą ich różne części ciała; również mają kontuzje. Tak więc widzimy, że ci, którzy czarują nas występami na scenie, są tacy sami jak my.

A jak to jest z popularnością tańca irlandzkiego w Polsce?

– Kiedy zakładałam studio, przez próby przewijało się ponad czterdzieści osób w ciągu roku. – Wspomina Pani Agnieszka – Później ta liczba spadała; teraz zdecydowanie mam wrzące

nie, że największy „boom” na taniec irlandzki minął. W tej chwili jest dość dużo zespołów, ale zmienia się trochę ich jakość.

– Zespół tańca irlandzkiego jest w ogóle polskim wymysłem dodaje Margo. – zazwyczaj wygląda to tak, że jest uczeń i nauczyciel, natomiast w Polsce najczęściej w zajęciach uczestniczy większa grupa.

Jak widzimy, nasz kraj ma swój wkład w rozwój tej dyscypliny.

PLANY NA PRZYSZŁOŚĆ

Jakie plany na przyszłość ma zespół i sami tancerze? Jak się okazuje, dość ambitne.

– W tańcu irlandzkim trzeba zaliczyć kilka poziomów zaawansowania, na których trzeba opanować określone kroki i figury. W tym roku chcę się dostać na poziom „primary.” – mówi Margo.

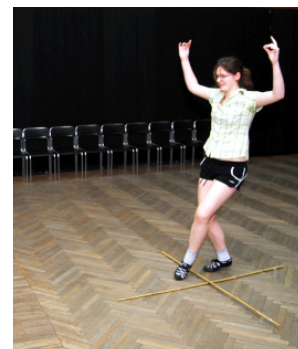
Poza tym zespół chce przygotować do kolejnego w swoim dorobku przedstawienia i wypromować grupę na łódzkich scenach, co ułatwi późniejsze wystawianie przedstawień związanych z tańcem. A co z programami typu Mam Talent? Okazuje się, że Feirin miał już propozycję wystąpienia właśnie w TVN-owskim show. Jednak odmówili. – Stwierdziliśmy, że turnieje – tak, występy – tak, ale bez przesady.

Co do pozostałych planów, tancerze chcą wziąć udział w turniejach, które są organizowane i w Polsce i na całym świecie. Zapowiada się obiecująco.

Krzysztof Szaflik
Fot. Franciszek Jagiello



Na próbie



Trening pomaga w koordynacji

Spod strzechy na Zamek

Wspomnienia z IX Festiwalu Muzyki Celtyckiej ZAMEK
26-28 sierpień 2011

O późniony pociąg i brak tabliczki na dworcu przekonywały mnie, że to nie Irlandia. Pogoda też z nas zakpiła i zamiast irlandzkiej mgły był tropikalny upał. Po przesiadce w Zawierciu zaczęło pojawiać się coraz więcej oznak, że jestem jednak na dobrej drodze: kari-maty, plecaki, gdzieś tam wystający flet. Najpierw były uśmiechy, a potem telegraficzne dialogi.

-Zamek?

-Zamek!

Pociąg zatrzymał się na stacji Będzin. Górnicze miasto w Zagłębiu w ostatni weekend sierpnia zamienia się w małą Irlandię. Kiedy z pociągu wysiądzie kilka setek podróżników, zaczyna się Zamek, Festiwal Muzyki Celtyckiej.

Pewnie jest gdzieś w Będzinie hotel, ale nie sądzę, żeby jakiś festiwalowicz znał do niego drogę. Celtowie nie śpią w hotelowych łóżkach. Na festiwalu wszyscy tworzą jedno wielkie celtyckie plemię – takie było moje pierwsze wrażenie, kiedy dotarłam do szkoły podstawowej w Będzinie. Szkoła została festiwalową noclegownią, po piętnaście złotych za dobę. Za tę cenę przysługiwała bardziej przystojąca Celtom wygoda: kawałek będzińskiej podłogi. Każdy oznaczył swoje terytorium ręcznikiem i śpiworem. Ktoś spał, ktoś jadł, ktoś biegł boso z łazienki, ktoś grał na flecie, a jeszcze ktoś inny czytał Pratchetta (jak się zdążyłam zorientować, to naczelny pisarz stałych bywalców Festiwalu). Rolę współczesnego ogniska, do którego ucieka się po ciepło i jedzenie przejął... czajnik. Każdy zajęty był czymś innym, a jednak wszyscy byli razem, rzucając sobie porozumiewawcze uśmiechy.

Około południa zaczęły się mniejsze i większe pielgrzymki w kierunku Ośrodka Kultury. Ci z większą toleran-

cją na wysoką temperaturę wspięli się na stryszek na wykład z run i wystawę akwareli. Inni wybrali cień i murek na dziedzińcu. Po fakcie stwierdzam: umysł nie radzi sobie z historią pisma runicznego w czterdziestostopniowej temperaturze, ale nieźle toleruje akwarele. Inspirowane Irlandią, ciekawie komponowały się z dobiegającą z zza okna muzyką Loreeny McKennitt.

Warsztaty tańca bretońskiego spędziłam przytulając policzek do szklanki z mrożoną kawą. Przy stoliku obok pojawiły się podejrzenia, że w kawie nie ma kawy. Prawda, że w smaku łudząco przypominała cappuccino w proszku, ale kto miałby ochotę na kawę po irlandzku w środku lata? Zamiast tego była zimna, słodka i serwowana w minutę (!) frappe po będzińsku. W tym samym czasie najbardziej wytrwali „bretończyli”* w pełnym słońcu. Z boku wyglądało to trochę jak pląsy na obozie lub koloniach. Tyle, że zamiast dzieciaków pląsali dorośli. Średnia wieku w Będzinie jest może nieco wyższa niż na innych festiwalach, być może z tego względu, że aby pokochać muzykę celtycką trzeba przejść najpierw przez inne muzyczne „etapy”. Wieczorem, na podzamczu, „bretońcerze” pokazali, że ilość wylanego potu nie poszła na marne. Zrobiło się zimno i nawet ci, którzy na warsztatach siedzieli przy kawie instant, na koncercie łapali „bretońcerzy” za małe palce i dołączali do kręgu.

Podziwiam tych, którzy po festiwalu byli w stanie rozmawiać o każdym zespole osobno. Ucho mam dobre, a jednak sobotnie koncerty zlały mi się w jeden. Może dlatego, że tańcząc pod sceną prawie nie dostrzega się zmiany wykonawcy. Zauważa się, że rytm przestał pasować do polki, albo że zaczął.



Pod sceną było około dwustu osób. Co jakiś czas ktoś krzychał: „polka!” albo: „circassian!” i wszyscy wiedzieli co robić. Taniec na dwieście osób, gdzie co pół minuty tańczy się z kimś innym nie się za sobą tak zwane „gubienie chłopca”. To nie są eleganckie tańce. Tu nie ma „partnera”. Céilidh było zabawą wiejską, „pod strzechą”. Kiedy tańczy się w takim tłumie nie trudno wypaść z koła, bo nie trafiło się na kolejną osobę. To nie ma znaczenia. Znowu są uśmiechy i telegraficzne dialogi, tylko bardziej bezpośrednie, bez pytańników, za to z wykrzyknikami.

– Tańczysz!

– Tańczę!

Jeśli do wieczora ktoś jeszcze nie zakończył się w muzyce bretońskiej, to i tak przepadł niedługo potem. Esquisse zostawiło wszystkich z motylkami w żołądku i skowronkami w głowie. Francuzi, jako gwiazda wieczoru występowali na końcu. Zagrali tylko kilka utworów zanim organizatorzy przerwali koncert. Pogoda niestety nie „z irlandczyła” się ani nie „z bretończyła”. Nad głowami wisiła nam tropikalna burza. Tydzień wcześniej na festiwalu w Belgii doszło do tragedii. W Będzinie woleli nie ryzykować. Wyjść i zakomunikować żądnym muzyki i tańca festiwalowiczom, że to koniec, było odważną decyzją, ale słuszną. Poculiśmy, że ktoś dba o nasze bezpieczeństwo, dlatego też każdy pomruczał sobie pod nosem, ale za chwilę wszyscy grzecznie opuścili podzamcze.

* Prawie wszystkie wyrażenia w cudzysłowach użyte w tekście są autentycznie używanymi na Festiwalu neologizmami.

Droga do naszej plemiennej noclegowni była jednak długa. Obiecano, że Esquisse zagra jeszcze kilka utworów w Ośrodku Kultury. To, co wydawało się niezbyt dobrze zakończoną imprezą, zamieniło się w najlepsze tegoroczne Fest Noz. Znowu nie było elegancko. Było ciasno, a perkusista grał na stole. Forma ma znaczenie może kiedy tańczy się poloneza na studniówce. W Będzinie chodzi o treść.

W niedzielę temperatura odpuściła, dlatego w warsztatach tańca irlandzkiego brałam udział już jako uczestnik, a nie obserwator. Na Zamku nie spotykają się przypadkowi ludzie. Połowa tańczy, a druga połowa gra na instrumentach. Ciężko byłoby znaleźć kogoś, kto nie miałby chociaż mniej więcej opanowanego travellingu (lub skipu, różnie zwanego w różnych częściach Polski podstawowego kroku w tańcu irlandzkim, który służy do przemieszczania się). Wieczorem na podzamczu stwierdziłam, że prawdziwy festiwalowicz nawet chodzi travellingiem! Dwudziestolatek z długimi włosami związanymi w kucyk przemierzał polanę przed sceną w irlandzkim stylu. „Przetravellingował” mi przed oczami ładnych kilka razy, dopóki nie zrobiło się zbyt gęsto, żeby wykonać jakiegokolwiek ruch. Już wcześniej było ciasno, ale nie mam pojęcia skąd tuż przed koncertem Beltaine przybyło jeszcze tylu ludzi. To chyba oznacza, że na scenie mogliby występować sami The Chieftains albo Clannad, a i tak publiczność najbardziej szalałaby na swoich rodzimych gwiazdach. Kiedy na skrzypcach zaczyna grać „Adaś”, a „Choody” bierze w ręce bombardę, to właśnie słowo „szaleństwo” najlepiej opisuje sytuację pod sceną. Po dwóch dniach w Będzinie nie umiem stwierdzić z czego właściwie Chudy jest bardziej znany: z grania na whistlu, bombardzie, akordeonie, akwareli wiszących na stryszku, czy może... konferansjerki. Nie będzie przykładów. Słowa Chudego wymykają się wszelkim próbom ich spisania. Jako przyszłemu filologowi uruchomiło mi się myślenie „a gdyby tak trzeba było to przetłumaczyć?”. Myślę, że najlepszy tłumacz skapitulowałby przed Nieprzekładalnym Chudym, który w końcu też jest filologiem, tyle że polskim. Zeszli ze sceny,

a nas zostawili pod nią, roztańczonych i domagających się więcej. Tak jak już wspomniałam, ciężko być gwiazdą na scenie po Beltaine, nawet jeśli jest się zespołem z Irlandii. Parsec zostawili pewien niedosyt. Muzyka była dobra, tylko nie nadająca się ani do tańca, ani do kołysania. Ludzie powoli zaczęli przemieszczać się z polany w kierunku namiotów, a potem w kierunku szkoły. I skończyło się. Dwa dni tropikalnej pogody, zupek chińskich, kawy po będziniśku, słowackiej i polskiej muzyki irlandzkiej, śląskiej gwary, „irlandczenia” i „bretończenia” przeszły do historii IX Festiwalu Zamek. Zostało jeszcze tylko kilka light jógów na stacji, w oczekiwaniu na znowu spóźniony pociąg.

Katarzyna Wawrzko
Fot. Przemek Jarosz

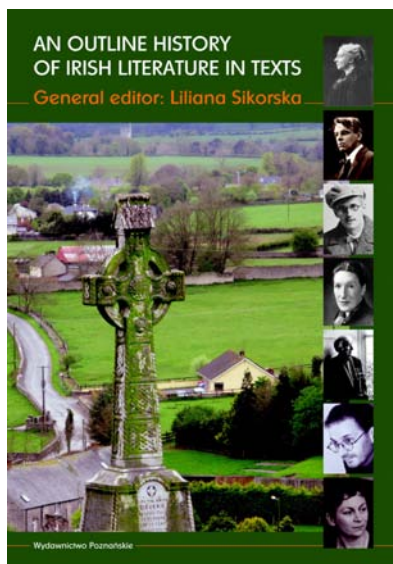


Taniec bretoński
- charakterystyczne trzymanie się
za małe palce.

Antologia literatury irlandzkiej

Zredagowana przez prof. Lilianę Sikorską Antologia literatury irlandzkiej to publikacja w Polsce pionierska i bardzo potrzebna. Na tę ważną książkę zbierającą najciekawsze teksty anglojęzycznej literatury irlandzkiej czekają nie tylko liczni studenci anglistyki i kierunków neofilologicznych, do których jest przede wszystkim skierowana,

ale też rosnące grono czytelników interesujących się literaturą i kulturą irlandzką. W ostatnich bowiem latach da się w Polsce zaobserwować ożywienie zainteresowania literaturą irlandzką. Umieszczone przy każdym okresie działy „Cultural Studies” poszerzają zakres materiałów źródłowych o piśmiennictwo, które w tradycji anglosaskiej jest traktowane na równi z literaturą piękną. Równorzędne potraktowanie tekstów literackich i kulturoznawczych jest również odzwierciedleniem obecnej we współczesnej humanistyce tendencji do zacierania granic między beletrystyką a innymi dyskursami osadzonymi bezpośrednio w rzeczywistości społeczno-kulturowej danego obszaru czy regionu.



An Outline History of Irish Literature in Text / pod redakcją naukową Liliany Sikorskiej. - Poznań: Wydawnictwo Poznańskie Poznań, 2012.

www.wydawnictwo-poznanskie.pl



**27 marca 2012
godz. 17.00**

spotkanie
Dyskusyjnego Klubu Książki

przy WiMBP im. Marszałka J. Piłsudskiego

Spotkanie odbędzie się

w Czytelni Zbiorów Specjalnych (budynek „B”)

Zapraszamy do dyskusji o książce Ryszarda Wolańskiego pt.
Już nie zapomnisz mnie. Opowieść o Henryku Warsie

**Zapraszamy do lektury czasopism,
książek i zbiorów specjalnych
dostępnych przez Internet i zamieszczonych
w Bibliotece Cyfrowej
– Regionalia Ziemi Łódzkiej
(<http://bc.wimbp.lodz.pl/>)**

Dostępne są już następujące czasopisma: Dziennik Łódzki (1884-1892), Dziennik Łódzki (1931-1933), Dziennik Zarządu m. Łodzi (1919-1939), Express Wieczorny Ilustrowany (1923-1924), Gazeta Łowicka (1917-1918), Gazeta Łódzka (1914-1917), Głos Poranny (1929-1939), Ilustrowana Republika (1925-1929), Łowiczanie (1911-1914, 1918-1931), Łódzkie Ogłoszenia, Łódź Anzeiger (1863-1864), Orędownik (1934-1939), Polska Narodowa (1936-1937), Prąd (1931-1933), Republika (1923-1925), Rocznik Łódzki Poświęcony Historii Łodzi i Okolicy (1928, 1931, 1933), Rocznik Oddziału Łódzkiego Polskiego Towarzystwa Historycznego (1928, 1929-1930, 1939), Rozwój (1898-1901, 1903-1915, 1918-1931), Tydzień (Piotrków Trybunalski, 1873-1879, 1881-1906), Wieśniak : pismo poświęcone sprawom łowicza i sąsiednich powiatów (1914), Życie Gromadzkie : tygodnik społeczno-gospodarczy. Kutno – Łowicz – Sochaczew (1933-1934, 1936), Życie Łowickie (1932-1933, 1936-1937). Jest też: Łódzianka : kalendarz humorystyczny (na rok 1903, 1910), Księga Adresowa Miasta Łodzi i Województwa Łódzkiego (1937-1939), Amtliches Fernsprechbuch für den Bezirk der Reichspostdirection Posen (książka telefoniczna z 1942 r.).

Zapraszamy do lektury ponad 120 książek. Wśród nich znajduje się 40 książek pochodzących ze znajdującej się w Bibliotece kolekcji Muzeum Książki Dziecięcej. Jest wydanie książki z roku 1791 oraz są wydania XIX-wieczne. Zapraszamy

my do zapoznania się z fragmentami czternastu starodruków ze zbiorów Biblioteki (wydanych w latach 1554-1796), które w roku 2011 poddano konserwacji dzięki dofinansowaniu z Fundacji Kronenberga przy Citi Handlowy.

Zapraszamy do oglądania zbiorów specjalnych, umieszczonych także w ramach wirtualnych wystaw, w tym: fotografii zawartych w albumie Pierwsza Wystawa Przemysłowa : 1895 r. autorstwa Bronisława Wilkoszewskiego, pocztówek przedstawiających Łódź do roku 1939 oraz pocztówek z widokami Łodzi wydanych przez okupantów niemieckich w czasie II wojny światowej, planów dawnej Łodzi. Zainteresowanych genealogią zapraszamy do przeglądania ksiąg metrykalnych parafii Brzeźnio (pow. sieradzki) – w tym: księgi akt urodzin i chrztu dekanatu sieradzkiego (z lat 1703-1730), księgi aktów urodzin i chrztów parafii Brzeźnio (z lat 1653-1702), księgi akt urodzin parafii Brzeźnio (z lat 1595-1636). Wśród rękopisów są teksty dwóch fars z początku XX w. autorstwa Ludwika Szejera (1874-1940) pt. Nie pożądam cudzej żony, Wojna z żonami.

Zapraszamy również do korzystania ze zdigitalizowanych zbiorów dostępnych na komputerach w sieci lokalnej WiMBP im. Marszałka J. Piłsudskiego.

**Zapraszamy do częstego zaglądania do Biblioteki Cyfrowej
– Regionalia Ziemi Łódzkiej. Zasób wersji cyfrowych
zdigitalizowanych zbiorów powiększa się każdego tygodnia.**



Wybór materiałów : Piotr Bierczyński

Skład : Julita Lendzian-Twardowska

Nakład: 130 egz.

Numery BIBiKa dostępne są na stronie www.wimbp.lodz.pl w dziale **Wydawnictwa własne**

Bezpośredni link do archiwum BIBiK-ów bibik.wimbp.lodz.pl